



*Taniec
marionetek*

Tomasz Niziński

*Agacie,
za konia z kopytami*

SPIS TREŚCI

<i>Rozdział I</i>	4
<i>Rozdział II</i>	52
<i>Rozdział III</i>	157
<i>Rozdział IV</i>	216
<i>Rozdział V</i>	283
<i>Rozdział VI</i>	325

ROZDZIAŁ I

Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Żadnego wytłumaczenia dla mojego postępowania, żadnej racjonalizacji. Znacie przecież te opowieści, słyszeliście je już tyle razy, w różnych wariantach... Skrytobójca, ukształtowany przez dorastanie na ulicy i drobne kradzieże dokonywane, by przetrwać. Pozbawiony skrupułów cyniczny polityk, który za młodu był świadkiem śmierci swego ojca z rąk najeźdźców. Trucicielka, wepchnięta w dzieciństwie na złą drogę przez pożar, w którym zginęli jej bliscy. Brzmi znajomo, prawda? Tragedie z przeszłości potrafią być bardzo użyteczne.

W mojej biografii nie ma niczego takiego. Żadnej traumy, która skierowała mnie na złą drogę i usprawiedliwiałaby choć do pewnego stopnia moje uczynki. Moja rodzina nie była ani bogata, ani biedna i z tego, co wiem, nadal ma się dobrze, a moja młodość nie została zakłócona żadnym drastycznym zdarzeniem. Właściwie uważam to za powód do dumy, że stoczyłem się całkowicie dobrowolnie. Nie zostałem wepchnięty na tę drogę, lecz wybrałem ją sam. Po prostu pewnego słonecznego dnia postanowiłem porzucić moje komfortowe, praworząd-

ne życie i wszystko spierdolić. Jest to w pewien sposób piękne, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Prawdziwie triumfalne zwycięstwo wolnej woli nad społecznym determinizmem.

Pewien bard powiedział mi kiedyś, że w każdej opowieści musi być jakiś czarny charakter i jeśli w mojej historii nikogo takiego nie ma, to znaczy, że tym czarnym charakterem jestem ja. Moje spojrzenie na świat jest nieco prostsze: na naszej ścieżce spotykamy tylko dwa rodzaje ludzi. Takich, których możemy zepchnąć z drogi, i takich, których musimy ominąć. I choć czasem lubię myśleć o sobie jak o wielkim złym wilku tej opowieści, to w gruncie rzeczy nie zasłużyłem na takie wyróżnienie. W kwestii zaś mojej moralności... Czy można winić pionka za to, że przyszło mu grać po stronie czarnych?

Historie wielu z tych, którzy zarabiają bądź zarabiali na życie mieczem, zaczynają się od jakiegoś banału w rodzaju „opuścił dom rodzinny w poszukiwaniu przygody”. Nie znoszę słowa „przygoda”. Przepelnia je naiwność cechująca bajki dla dzieci oraz heroiczne eposy opowiadane przez bazarzy w blasku domowego ogniska. Zwodzą nas one mirażem dalekich podróży, wspaniałych widoków i ekscytujących doznań. Pomijają natomiast całkowicie rzyganie za burtę podczas sztormu, paskudne żarcie powodujące krwawą sraczkę, ropiejące rany i łapiący za gardło strach, który obcy jest tylko głupcom. Za każdą chwalebłą raną odniesioną w bitwie chowa się gangrena, za każdą pełną pasji nocą choroba weneryczna, a przed każdym ekscytującym doznaniem trzeba przetrwać dnie, jeśli nie tygodnie, nerwowego oczekiwania.

Większość poszukiwaczy przygód to ludzie, którzy nigdy żadnej przygody nie znaleźli, a jeśli któremuś z tych egzaltowanych kretynów zdarzy się ją znaleźć, to szybko się przekonują, że pisali się na coś zupełnie innego. Wtedy oczywiście jest już za późno. Wyrażenie „poszukiwacz przygód” powinno się odnosić właściwie tylko do żółtodziobów, ci bowiem, którzy mają już za sobą tę wątpliwą przyjemność, dostali nauczkę i nowych doświadczeń już nie poszukują, chyba że nie mają absolutnie żadnej innej alternatywy. Takich ludzi, zrezygnowanych i wypalonych, nazywamy weteranami.

Jeśli po tym wstępie obawiacie się, że moja historia będzie nudną opowieścią człowieka, który zawsze dokonywał mądrych wyborów i przeżył długie, spokojne życie w dostatku i bezpieczeństwie, to pozwólcie, że was uspokoję. Cała moja mądrość jest mądrością po szkodzie i pomimo mojej obecnej, starczo-belferskiej pozy możecie mi wierzyć, że gdy podejmowałem decyzje, które skierowały mnie na taką, a nie inną ścieżkę, byłem kompletnym kretynem, któremu absolutnie nie powinno się powierzać jakiegokolwiek odpowiedzialności. Ponieważ zaś wszyscy lubią słuchać opowieści o ludziach głupszych od siebie, myślę, że moja historia przypadnie wam do gustu.

Powszechnie na świecie obowiązuje przekonanie, że wojownicy dzielą się na zwycięzców i przegranych. Jest to oczywiście kompletna bzdura. Prawda jest taka, że wojownicy dzielą się na żywych i martwych. Nieważne, jak dobry jesteś w swojej robocie i jak dużego masz farta, nie jest po prostu możliwe, żebyś w każdej bitwie znalazł się po stronie zwycięzców. Prędzej czy później armia, w któ-

rej walczysz, dostanie baty i zostanie podzielona na tych, którzy zdążą spieszyć z pola bitwy na własnych nogach, i na tych, którzy zostaną na tym polu na zawsze. Człowiek w tym zawodzie szybko uczy się, że nie chodzi o wygraną bitwę, lecz o uratowanie swojej dupy niezależnie od wyniku starcia. To, że jeszcze chodzę po tym świecie, zawdzięczaam szczególnym talentom w tym zakresie. Ja i mnie podobni nie jesteśmy bohaterami ani poszukiwaczami przygód, jesteśmy profesjonalnymi przeżywcami nieszczęść.

Nazywam się Isevdriir Norgaard i moje karkołomnie brzmiące imię zdradza pochodzenie z północy regionu, który wy w swej kontynentalnej arogancji nazywacie Drugim Brzegiem. Już jako wyrostek zacząłem jeździć z kupieckimi karawanami, ale jeden wystrzelony przede mną bełt, który trafił niewłaściwego człowieka, wystarczył, żebym znalazł się w chaszczach, uciekając przed prawem i grasując na gościńcach. Potem byłem kolejno żołnierzem, dezserterem i najemnikiem wieszającym dezserterów wzdłuż traktów. Nie sądzę, żeby ten wczesny, młodzieńczy okres mojej kariery był dla was szczególnie interesujący i właściwie można go bez większych strat dla niniejszej opowieści sprowadzić do kilku brzydkich blizn, sakiewki pełnej monet różnego pochodzenia i jednej bardzo nieprzyjemnej choroby wenerycznej. W każdym razie droga, jaką przeszedłem przez te pierwsze dziesięć lat, doprowadziła mnie do punktu, w którym służyłem jako porucznik w najemnym Siódmym Regimentcie, stacjonującym w paskudnym mieście zwanym Dhurceath. Miasto to cechowało się nieprzyjemną pogodą i jeszcze bardziej nieprzyjemnymi mieszkańcami. Geograficznie rzecz biorąc, znajdowaliśmy się w czarnej dupie.

„Dhuirceath” brzmi bardziej jak ostatnie słowa człowieka dławiącego się kością kurczaka niż jak nazwa dużego miasta. A jednak ten dźwięk dobrze oddawał charakter mowy mieszkańców, składającej się właśnie z takich charknięć i chrząknięć. Dzięki wrodzonemu talentowi do języków dość szybko opanowałem tę gardłowo-gulgoczącą mowę, ale większość moich braci z Siódmego Regimentu uparcie odmawiała nauczania się nawet podstawowych słów, posługując się urzędowym językiem erejskim, co nie podobało się zbyt miejscowym. Nie żeby to miało dla nas jakieś znaczenie. Tubylcy nienawidziliby nas tak czy inaczej, więc właściwie nie mogliśmy już bardziej pogorszyć sytuacji, nieważne, jak otwarcie demonstrowaliśmy pogardę dla ich języka i kultury.

Dhuirceath to największe miasto i stolica regionu Cael-larh, granicznej prowincji królestwa Erei. Zanim trafiłem tutaj, spędziłem trochę czasu w wysoko rozwiniętych miastach handlowych na wybrzeżu, w których drogi są szerokie i brukowane, ruch wozów i zaprzęgów ściśle regulowany przez powszechnie wyznawane zasady przyzwoitości, a pomyje są wylewane tylko w przeznaczonych do tego miejscach, wyłącznie o ustalonych przez rady miejskie porach. W Dhuirceath natomiast stosunek do pomyj jest znacznie bardziej liberalny, co znaczy, że wylewa się je gdziekolwiek i kiedykolwiek. Prawo pierwszeństwa interpretuje się wyłącznie w kategoriach szybkości i siły fizycznej. A co do brukowanych dróg... Tylko raz zdarzyło mi się w tym mieście zobaczyć kawałek bruku na drodze, a znalazł się on tam krótko po odbiciu się od głowy strażnika miejskiego, celnie rzucony przez jakiegoś obdartego wyrostka. Szczy-

tem możliwości Dhurceath w zakresie infrastruktury drogowej są, jak sądzę, dwie deski przerzucone przez kałużę.

Klimat w regionie Caellarh określiłbym jako umiarkowanie gówniany. Słońce pojawia się rzadko, a przez większość czasu panuje zimna, wietrzna i deszczowa pogoda, zachęcająca przede wszystkim do przesiadywania w knajpach i burdelach. Niestety takie formy odpoczynku rzadko były nam dane, gdyż wrogie nastawienie miejscowych zmuszało nas do ciągłego oglądania się za siebie z obawy przed ciosem nożem w plecy. Prawa gościnności z reguły nas nie obowiązywały, a splunięcie pod nogi lub bełt wystrzelony zza węgła stanowiły standardową formę powitania. Niechęć tubylców, zresztą w pełni odwzajemniona, nie była jednak w najmniejszym stopniu nieuzasadniona.

Widzicie, my – to znaczy Siódmy Regiment – byliśmy na służbie królestwa Erei, które wieki temu podbiło dotąd suwerenne Caellarh i od tego czasu okupowało region, tłumiąc krwawo co kilkanaście lat kolejne powstania wywołane przez domagających się niepodległości tubylców. Zresztą, wcześniejsza historia stosunków Caellarh i Erei też nie miała zbyt wiele cech pokojowej koegzystencji, ich relacje bowiem przybierały właściwie tylko dwie, naprzemiennie następujące postaci: wojny i przygotowań do wojny... Różnice językowe, kulturowe i ustrojowe między krajami napędzały konflikt, a pożary na granicy nigdy nie gasły. Kasta wojowników, zwana czasami Kręgiem, która przed erejskim podbojem władała Caellarh, nieustannie rzucała wyzwanie królestwu. Biorąc pod uwagę dramatyczną różnicę w rozmiarze te-

rytorium i liczebności populacji, przypominało to mysz rzucającą wyzwanie kotu. Z tym, że w tej metaforze kot ma do dyspozycji, oprócz pazurów i zębów, również bogate złoża surowców, zaawansowaną technikę obróbki metali i rozbudowane zaplecze logistyczne, pozwalające na prowadzenie długich kampanii na wrogim terenie.

Jeśli istniał ktoś, kogo mieszkańcy Caellarh nienawidzili bardziej niż żołnierzy z Erei, to były to jednostki najemne na żołdzie królestwa. Dlatego też gdy żołnierz Siódmego Regimentu wychodził na miasto, to tylko w pełnym rynsztunku, z kilkoma uzbrojonymi kolegami dla towarzystwa, i gdziekolwiek by się nie znajdował, zawsze siadał blisko drzwi, plecami do ściany. Oficerowie pytani o nastroje w swoich oddziałach często używali wówczas określenia „niskie morale”. Zapytani o to samo żołnierze stosowali nieco inne wyrażenia, ale prawie wszystkie zawierały słowo „kurwica” w takiej lub innej formie. Tym niemniej pierwsze osiem miesięcy naszej służby w Dhurceath minęło stosunkowo spokojnie, choć niezbyt przyjemnie. Potem jednak, pewnego typowego dla Caellarh, brzydkiego i wietrznego dnia, zaczęły się kłopoty. A wszystko przez to, że Ifryt był takim skurwysynem.

– To nie jest tak, że życzę Ifrytowi źle – wyjaśniał cierpliwie Liczydło. – Mówię tylko, że czasami, gdy nie mogę spać, wyobrażam sobie ponurą, odzianą w czerni postać, pozbawiającą bardzo powoli, ale starannie Ifry-

ta kolejnych członków, utrzymując go zarazem w pełni przytomności umysłu.

– Rozumiem – odrzekłem, kiwając potakująco głową. – Nie chciałbym wyciągać pochopnych wniosków, ale mam powody przypuszczać, że nie lubisz go zbyt.

– A tam, zaraz nie lubię – oburzył się kwatermistrz. – Twierdzę jedynie, że gdyby zszedł z tego świata, to codziennie chodziłbym na cmentarz tylko po to, żeby zatańczyć na jego grobie. Czy to od razu musi oznaczać, że go nie lubię?

– Masz rację. Niesprawiedliwie cię oceniłem. Widziałem wielokrotnie, jak tańczysz na grobach ludzi zupełnie ci obojętnych, a nawet darzonych przez ciebie sympatią.

– Święta prawda. – Liczydło uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie. – Co nie zmienia faktu, że Ifryt to dupek.

Ponownie skinąłem głową, przyznając mu rację, i pogrzyżyliśmy się w milczeniu, kontemplując rozciągający się przed nami widok. Siedzieliśmy na dachu opuszczonej rezydencji Maldolonich przy ulicy Rzecznej. Ponieważ odwiedzanie miejsc publicznych wiązało się z dużym ryzykiem zadżgania przez buntowników, płaski i rozległy dach tej wysokiej budowli stał się ulubionym miejscem wypoczynku oficerów Siódmego Regimentu. Mogliśmy stąd ogarnąć wzrokiem całą panoramę miasta: skupiające się wokół masywnej bryły Cytadeli wysokie, brukowane gmachy należące do magnatów i najbogatszych kupców, dalej niższe i mniej imponujące fasady domów rzemieślników i pomniejszych handlarzy, aż po czerniejące na horyzoncie morze ciemnych, przygniecionych do ziemi własnym ciężarem drewnianych szop, w któ-

rych mieszkała biedota. Budynek, na szczycie którego się znajdowaliśmy, był jednym z najwyższych w mieście, ustępując tylko miejskiej rezydencji rodu van Dorren i smukłej, strzelistej Cytadeli, dzięki czemu mogliśmy z góry spoglądać na tworzące miasto pierścienie coraz niższych obiektów, niczym ze szczytu piramidy.

Rezydencja Maldolonich oczywiście nie została opuszczona dobrowolnie przez poprzednich mieszkańców, wymagało to pewnej dozy perswazji z naszej strony. Widzicie, kiedy po raz pierwszy przybyliśmy do miasta, hrabia de Verde, dowódca garnizonu, ulokował nasz regiment w Starych Koszarach, rozpadającym się budynku koło Dużego Targu. Wytrzymał tam tylko miesiąc, bo któregoś razu, przy okazji regularnie wybuchających w Dhurceath zamieszek, buntownicy podpalili magazyn znajdujący się koło Starych Koszar i pożar bardzo szybko przeniósł się na nasz budynek. Oczywiście sytuacja została szybko opanowana, ale Stare Koszary były na tyle zniszczone, że de Verde po prostu spisał je na straty. Hrabia rozwiązał problem zakwaterowania Siódmego Regimentu w typowy dla siebie sposób – depcząc godność okupowanej ludności. Rozkazał nam pomaszerować na ulicę Rzeczną, zająć znajdujący się tam klasztor, a wszystkich mnichów wyrzucić na bruk. Działo się to świeżo po stłumieniu zamieszek, więc rzecz jasna nie było żadnego oporu, bo wszyscy mieszkańcy skłonni do protestów przeciwko władzy przebywali już albo w więzieniach, albo kilka stóp pod powierzchnią świeżo rozkopanej ziemi.

Szybko okazało się, że zamieszki i pożar Starych Koszar wyszły nam na dobre. Dach naszej dawnej kwatery

miał więcej dziur niż dachówek, piwnice były plantacjami grzybów, a wszechobecna wilgoć czyniła mieszkanie tam kompletnie nieznośnym. Klasztor natomiast oferował całkiem wygodne warunki, a mnisi zostawili po sobie pełną spiżarnię. Poza tym, ponieważ znajdował się w samym centrum gęsto zabudowanej okolicy, musieliśmy stworzyć wokół niego strefę bezpieczeństwa, co polegało na wysiedleniu wszystkich mieszkańców sąsiednich budynków i obsadzeniu ich naszymi strażnikami. Wkrótce przyjęło się traktować je nie tylko jako posterunki, ale też miejsca do rekreacji, a najokazalszy i najwyższy z nich, czyli rezydencja Maldolinich, stał się wyłączną domeną korpusu oficerskiego.

O tym właśnie rozmyślałem, gdy siedzieliśmy sobie na dachu z Liczydłem, korzystając z jednej rzadkich chwil, kiedy deszcz dawał chwilę wytchnienia przemożonemu miastu. Z zamyślenia wyrwał mnie jakiś hałas i zdałem sobie sprawę, że słyszę zbliżające się kroki. Po chwili kłapa w podłodze uniosła się i naszym oczom ukazała się paskudna gęba Szalonego Yorlana. Powszechnie obowiązująca w regimencie teoria głosi, że urodził się on jako bardzo przystojny mężczyzna, ale zamiłowanie do materiałów wybuchowych szybko pozbawiło go urody. Jego twarz była pokryta bliznami i śladami po oparzeniach, a włosy mocno przerzedziły się z upływem czasu i kolorem przypominały wypłowiałą trawę.

Pokonał kilka ostatnich stopni i gdy wyszedł na dach, okazało się, że w rękach trzyma skrzynię pełną pomidorów. Powinienem w tym miejscu podkreślić, że przydomek „Szalony Yorlan” był w jego przypadku w pełni zasłużony;

otrzymał go nie ze względu na kilka oderwanych od siebie incydentów, ale za całokształt twórczości i lata zachowań wykraczających zupełnie poza wszelkie normy społeczne. Dlatego też, gdy Szalony Yorlan zjawił się na dachu skonfiskowanej rezydencji kupieckiej ze skrzynią pełną pomidorów, od razu przyjęliśmy ten fakt jako całkowicie naturalny. Musiało, co prawda, minąć kilka lat, zanim nasze dowództwo ostatecznie porzuciło wszelką nadzieję, że możliwe jest narzucenie mu choćby minimalnej dyscypliny, ale obecnie udało się wypracować kompromis, który dawał Yorlanowi wolną rękę do działania, o ile nie przynosił bezpośredniej szkody regimentowi. W ten sposób został właściwie zwolniony ze wszystkich zwyczajowych zasad i obowiązków, przez co musieliśmy przyjąć specjalnie dla niego stworzoną klasyfikację zachowań, składającą się z trzech kategorii. Pierwsza obejmowała szaleństwa niegroźne, druga – szkodliwe tylko dla Yorlana, a trzecia – szaleństwa ryzykowne dla niego i wszystkich w promieniu stu metrów.

Problem polegał na tym, że oprócz bycia pełnoetatowym wariatem, Yorlan był również genialnym alchemikiem, co czyniło go najniebezpieczniejszym człowiekiem na świecie. W kategorii trzeciej nie było ani grosza przesady. Nikt w regimencie nie zapomniał oblężenia Tureanu, które pomimo miażdżącej przewagi po naszej stronie i wielokrotnych szturmów ciągnęło się niemiłosiernie przez siedem miesięcy, a zakończyło zupełnie przypadkowo, gdy Yorlan uznał, że materiały wybuchowe są świetnym sposobem na poradzenie sobie z plagą gołębi. Kiedy miasto upadło, markiz de la Motre, pod którym wówczas służyliśmy, przyznał nasze-

mu alchemikowi medal za szczególne zasługi, a ten był święcie przekonany, że został wyróżniony za uwolnienie nas od tych nieznośnych ptaszysk, a nie za stworzenie kilkudziesięciometrowej wyrwy w murach miejskich, która pozwoliła na przeprowadzenie szturmu.

Szalony Yorlan oczywiście nie wytłumaczył, dlaczego pojawił się na dachu budynku ze skrzynią pomidorów w rękach. Tłumaczenie czegokolwiek nie było w jego zwyczaju. Stał więc sobie po prostu, czekając, aż któryś z nas wreszcie się złamie i zapyta, po co mu te pomidory.

– Po co ci te pomidory, Yorlan? – zapytałem.

– Kupiłem je na targu – odpowiedział niewinnie.

– Nie o to pytałem. Po co ci te pomidory?

– Były całkiem tanie.

– Ale czemu je kupiłeś? – wtrącił się Liczydło, który też uległ ciekawości.

– A co innego miałem zrobić? Kupić gruszki? – obruszył się Szalony Yorlan. – Nie jestem przecież żadnym zboczeńcem.

– Co jest nie tak z gruszkami?

– Gruszki to perwersja natury. Wszyscy to wiedzą.

Poddaliśmy się. Czasami najlepiej po prostu wziąć go na przeczekanie. Cierpliwość nie jest jego mocną stroną. Nawiasem mówiąc, Yorlan nie ma wielu mocnych stron.

– No dobra, powiem wam. – Alchemik pękł niemal natychmiast. – Widzicie ten budynek naprzeciwko? To zaimprovizowany posterunek Straży Miejskiej.

– Co ty nie powiesz? – prychnął Liczydło. – A ja myślałem, że ta kamienica jest obwieszona chorągwiami Straży, bo jej mieszkańcy są wielkimi zwolennikami porządku publicznego. A tak w ogóle to...

– Nie przerywaj – przerwał mu Yorlan. – Posterunek ma komendanta, a komendant ma pokój na najwyższym piętrze. Biurko, przy którym pracuje, znajduje się przy oknie wychodzącym na budynek, w którym obecnie przebywamy. Zamierzam trafić w to okno.

Liczydło i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Podzielisz się pomidorami?

– Nie zostawisz nas chyba na lodzie, prawda?

Szalony Yorlan nie był typem człowieka, który odmawia bliźnim przyjemności rzucania pomidorami w przedstawicieli lokalnej władzy, i po krótkim czasie ściana posterunku zaczerwieniła się od miąższu spływającego po elewacji. Odległość była spora, a nasza celność pozostawiała wiele do życzenia, więc większość warzywnych pocisków rozbiła się o ścianę budynku, ale kilkakrotnie udało nam się trafić w okno. Niestety, wewnątrz było na tyle ciemno, że nie mogliśmy dostrzec efektów naszej kanonady, lecz wściekłe wrzaski i przekleństwa dochodzące ze środka przekonały nas o skuteczności obranej strategii.

Ostrzał przerwało pojawienie się Ouangi, niskiego, czarnoskórego porucznika kompanii C, który wyłonił się z otworu w dachu za naszymi plecami.

– Kilku strażników miejskich zgłosiło się do mnie ze skargą, że rzucacie pomidorami w ich posterunek – powiedział Ouanga, przyglądając się z zainteresowaniem efektom naszej ofensywy. – Więc przybiegłem czym prędzej, żeby się przyłączyć. Zostały wam jeszcze jakieś pomidory?

– Jasne, łap. – Liczydło podał mu szczególnie rosły okaz.

– A przy okazji... – dodał porucznik, posyłając pomidora w kierunku budynku Straży – Isevdriř, Nika chce cię zobaczyć.

– Cholera. Jak bardzo? „Zajrzyj do mnie, jak będziesz miał chwilę” czy „Lepiej dla twojej dupy, żebyś nie kazał mi czekać”?

– Ma to jakiś związek z Ifrytem, więc druga opcja. – Ouanga uśmiechnął się promiennie, gdy kolejny rzucony przez niego pomidor trafił prosto w otwarte okno.

Zakląłem ponownie i zacząłem się zbierać. Gdy schodziłem po schodach, usłyszałem jeszcze głos Liczydła:

– Uważam, że Ifryt sprawia bardzo przyjemne wrażenie, jeśli przymknąć oko na fakt, że jest kompletnym skurwielem.

Tak, tak, wiem, że chcecie usłyszeć coś więcej na temat Ifryta, ale wszystko po kolei. Zaraz do niego dojdę, najpierw jednak muszę wam opowiedzieć o Głąbie. Naprawdę nazywał się Gianfranco Lazzala i był prześrońcym sierżantem Ósmego Pułku Kawalerii w erejskiej armii, a jego ogromna głowa skrywała potencjał intelektualny rozgotowanego kalafiora. Rzecz jasna, nie wiedział, że wszyscy wołają na niego Głąb. Nie wiem, czy już o tym wspominałem, ale Lazzala był bardzo wysoki i bardzo głupi. Takich ludzi lepiej obrażać szeptem i za ich plecami. Ewentualnie w pamiętnikach spisywanych długo po fakcie.

Jak to się stało, że łamacz końskich grzbietów trafił do kawalerii i jakim cudem udało mu się tam utrzymać, nie jestem w stanie wyjaśnić. Nigdy nie widziałem Głąba na ko-

niu i ciężko mi wyobrazić sobie zwierzę odpowiednio duże, by unieść jego ciężar. Nie słyszałem również, żeby ktokolwiek w armii kiedykolwiek widział go jadącego wierzchem. Po zastanowieniu pomyślałem, że słyszałem tylko jedną historię, w której Lazzala miał cokolwiek do czynienia z końmi. Według tej opowieści, przekazanej mi przez dość wątpliwe źródło, jakim był pijany koniuszy z armijnej stajni, Głęb był jedynym człowiekiem, któremu zdarzyło się kopać z koniem i wygrać. Jest to prawie na pewno kompletna bzdura, ale wierzcie mi, gdybyście kiedyś zobaczyli sierżanta na własne oczy, zrozumielibyście, że nie jest to całkowicie nieprawdopodobne. W każdym razie, niezależnie od tego, czy podróżował konno, czy pieszo, robił to cholernie szybko. Jeśli gdzieś w prowincji była morda do obicia, nieposłuszna wieś do spalenia czy buntownicze mienie do skonfiskowania, Lazzala był zawsze pierwszy na miejscu. Matki w Caellarh straszyły nim swoje dzieci, a erejscy oficerowie stawiali go za wzór swoim żołnierzom.

Opowiadam wam o nim dlatego, że gdy zszedłem z dachu i opuściłem rezydencję Maldolinich, zobaczyłem przed wejściem do budynku małe zbiegowisko, z którego można było na pierwszy rzut oka wyodrębnić trzy grupy. Pierwszą tworzyło kilku wściekłych strażników miejskich, którzy głośno domagali się zaprzestania naszego warzywnego bombardowania. Druga składała się z trójki wartowników z Siódmego Regimentu, biernie, ale zdecydowanie powstrzymujących rozgorączkowanych strażników przed zrobieniem czegoś głupiego. Trzecią i największą, choć jednoosobową grupę, stanowił sam Głęb.

Gdy tylko ukazałem się w drzwiach rezydencji, strażnicy, trafnie identyfikując mnie jako źródło wszelkie-

go zła, skierowali na mnie swoją złość, wrzeszcząc coś niezrozumiale. Głąb najwyraźniej też miał mi coś do powiedzenia.

– Norgaard! – ryknął, zagłuszając jójczenie strażników. – Cho tu, sprawę mam.

Czy wspomniałem, że Głąb był sierżantem, a ja porucznikiem? Oczywiście służyliśmy w innych jednostkach, ale mimo wszystko taki ton był niedopuszczalny. Lazzala nie był jednak tylko sierżantem. Był również Głąbem, a ten stopień w nieformalnej hierarchii przewyższał większość oficerów.

– Widzę, że długo na mnie czekałeś – odpowiedziałem spokojnie. – Więc udzielę ci audiencji.

Głąb zrobił tę swoją na pół wściekłą, na pół zdziwioną minę, która zawsze pojawiała się na jego twarzy, gdy nie był do końca pewny, czy ktoś z niego drwi. Ignorując wrzeszczących strażników, podszedłem do niego bliżej.

– Jeśli znowu chodzi o manufakturę na Szerokiej... – zacząłem.

– O co? – zdziwił się Głąb i prawie mogłem dostrzec trybiki powoli obracające się pod jego czaszką. – Nie, nie chodzi. Macie kogoś, kto należy do mnie.

Jeden ze strażników najwyraźniej nie zamierzał uszanować prywatności naszej konwersacji i zbliżył się do nas, zamierzając chyba powiedzieć mi, co sądzi o naszym zachowaniu. Głąb, któremu mówienie nie przychodziło łatwo, nie lubił, gdy ktoś mu to jeszcze bardziej utrudniał i dekoncentrował go poruszaniem się w jego polu widzenia. Odwrócił się do strażnika i wydał z siebie przeciągłe, ostrzegawcze warknięcie. Czysto zwierzęcy, atawistycz-

ny charakter tego zachowania podziałął na tamtego skuteczniej niż jakiegokolwiek słowa czy odwołania do rangi wojskowej. Największy samiec w stadzie właśnie pokazał drugiemu osobnikowi, gdzie jego miejsce. Strażnik odwrócił się i odszedł na posterunek, nie oglądając się ani razu. Jego towarzysze zawahali się na moment, rozglądając wokół, jakby szacowali swoje siły, a potem poszli w ślady kolegi.

– Widzę, że darzysz Straż taką samą sympatią jak ja – zwróciłem się do Głęba swobodnym tonem.

– Wszyscy strażnicy to cipy – odparł elokwentnie.

Powiniennem w tym miejscu uświadomić was, że strażnik, który wcześniej uciekł w popłochu, był ode mnie jakieś pół głowy wyższy, co znaczy, że ja sam w porównaniu z Głębem wyglądałem na karła i nie czułem się ani trochę swobodnie w jego towarzystwie. Rzecz jasna, nie zamierzałem tego dać po sobie poznać, choć wątpię, żeby Lazzala nabrał na moją fałszywą pewność siebie.

– W czym mogę ci pomóc, przyjacielu? – spytałem, spoglądając wszędzie, tylko nie na Głęba. Żeby patrzeć mu w oczy, musiałbym stale zadzierać głowę do góry jak krety, a to pozbawiłoby mnie resztek godności.

– Rothar. Chcę jego głowy.

– Wiem o tym od miesiąca. A ty przez ten cały czas wiesz, że jest nam potrzebny.

– Niepotrzebny. Powiedział, co wie. Chcę go.

– Bynajmniej, wielu mieszkańców nadal ufa Rotharowi i powierza mu wiele cennych informacji. Twoja nienawiść do niego gra w tym sporą rolę. Bardzo się napracowałeś, informując wszystkich, którzy chcieli słuchać,

że marzysz o tym, żeby go zabić, i teraz ludziom trudno uwierzyć, że Rothar mógłby być naszym informatorem. Właściwie to powinienem ci podziękować, twoje groźby pod jego adresem znacznie wydłużyły jego użyteczność.

– Dajcie mi go albo sam wezmę.

– Uważam to za mało prawdopodobne. Twój dowódca wie, że ty wiesz, że Rothar jest pod naszą ochroną. Obiecuję ci jednak, że jak tylko przestanie być nam przydatny, podamy ci go na tacy i będziesz mógł z nim zrobić, co zechcesz.

– Nie. Lubię. Czekać.

– Nietrudno mi w to uwierzyć. Ale nie dostaniesz Rothara, dopóki z nim nie skończymy.

Głęb zawarczał znowu, ale już jakoś bez przekonania. Potem wzruszył ramionami, łypnął jeszcze na mnie złowrogo i oddalił się bez pożegnania. Zwróciłem się w stronę wartowników, którzy przez cały ten czas stali niewzruszenie, pilnując wejścia do rezydencji. Miałem zamiar zadać im parę pytań, ale po rzuceniu okiem na ich twarze zmieniłem zdanie. Te chłopaki nie pały do mnie w tej chwili zbyt dużą sympatią. Oficerowie zabawiali się na górze w rzucanie pomidorami, a oni musieli brać na siebie wściekłych strażników.

Poczułem się trochę zawstydzony swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem, ale nie miałem wątpliwości, że gdybym trzymał jakiegoś pomidora w ręku, rzuciłbym nim w posterunek. Ponieważ jednak wyczerpałem już przydzielony zapas warzywnych pocisków, nie pozostało mi nic innego, jak udać się na spotkanie z Niką. Szedłem lekkim krokiem, czując się świetnie w nowych butach, któ-

re parę dni temu wygrałem w karty od Hieny. Fakt, że bezczelnie oszukiwałem podczas gry, w jakiś sposób sprawiał, że mój nowy nabytek był jeszcze bardziej wygodny.

Po drodze zastanawiałem się nad naszą skomplikowaną relacją ze Strażą Miejską. Z pozoru mogłoby się wydawać, że Straż, Siódmy Regiment i armia erejska tworzą jeden front, ale oczywiście było to złudzenie. W rzeczywistości podział przebiegał na utartej linii miejscowi–obcy, czy dokładniej: okupowani–okupujący. Nasz pułk i armia erejska, jako jednostki złożone z ludzi pochodzących spoza regionu Caellarh, stanowiły ciało obce, siły okupacyjne. Straż Miejska natomiast, choć pozostawała pod kontrolą gubernatora i współpracowała z okupantem, składała się właściwie wyłącznie z miejscowych, a jej kadra oficerska tradycyjnie wywodziła się z bogatych rodzin mieszczańskich Dhurceath, które stanowiły serce i portfel ruchu oporu. Wojska królewskie werbowwały rzecz jasna w rodzinnej Erei, a jeśli prowadzono jakiś zaciąg w Caellarh, to takich rekrutów wysyłano na przeciwległy kraniec królestwa, żeby oddalić ich od pokusy przyłączenia się do rebelii.

W każdym razie zarówno w pałacu gubernatorskim, jak i w Cytadeli, w której mieścił się sztab generalny hrabiego de Verde, zdawano sobie doskonale sprawę, że Straż Miejska stanowiła liczną, dobrze zorganizowaną i uzbrojoną jednostkę, która w razie wybuchu powstania bez wahania zwróci się przeciwko erejskiej administracji. Dlaczego więc nie rozpędzono Straży na cztery wiatry? Z powodów politycznych oczywiście. Od dłuższego czasu pałac gubernatorski sprawował łagodne rządy i nawet

oferował miejscowym ograniczoną autonomię. Kluczowym założeniem tej polityki było pozostawienie służb porządkowych w rękach tubylców. Miało to dwie oczywiste korzyści: miejscowi mniej się stawiali, jeśli aresztował ich krajan, a armia erejska nie musiała tracić czasu na łapanie drobnych złodziejasków i przepędzanie włóczęgów, co pozwalało im skupić się całkowicie na swoim prawdziwym powołaniu, czyli prześladowaniach politycznych. Wszyscy zyskują, prawda? A to, że w razie powstania Straż stanowiłaby spore niebezpieczeństwo dla królewskiej administracji? Nikt w pałacu gubernatora nie traktował poważnie możliwości wybuchu buntu, wierząc, że ustępstwa, na które się zgodzili, całkowicie zadowolą ludność. W Cytadeli natomiast patrzono na sprawę w nieco inny sposób. Hrabia uważał, że powszechna rebelia jest tylko kwestią czasu, i miał już opracowany scenariusz pacyfikacji Straży Miejskiej na wypadek wystąpienia jakichkolwiek sygnałów zagrożenia. De Verde zawsze zakładał najgorsze. Bardzo to u niego ceniłem.

– Nika na ciebie czeka. – Wyrwał mnie z zadumy czyjś głos.

Uniosłem głowę. To był Winon, człowiek z mojej kompanii, któremu akurat wypadła warta przy bramie klasztornej. Zamyśliłem się tak głęboko, że kompletnie przestałem zwracać uwagę na otoczenie i nawet nie zauważyłem, jak dotarłem na miejsce. Niebezpieczne zachowanie. Teoretycznie przebywałem w niezagrożonej strefie, kontrolowanej przez regiment, ale w ten sposób łatwo nabrać złych nawyków i ani się człowiek obejrzy, a dostaje nożem pod zebro, wracając do koszar z burdelu.

– Wiem – rzuciłem do Winona w odpowiedzi i przeszedłem przez bramę.

– Czeka już dość długo! – Usłyszałem jeszcze za sobą.
– Chyba nie jest z tego powodu zbyt zadowolona.

Nie zaszczyliłem go odpowiedzią. Szybkim krokiem pokonałem dziedziniec, na którym znudzeni żołnierze przygotowywali się do ćwiczeń, i wszedłem do budynku, kiwając głową na powitanie mijanym wartownikom. Nie miałem dalekiej drogi do przejścia. O ile nasz pułkownik urządził sobie gabinet w najtrudniej dostępnym miejscu w klasztorze – na samym szczycie południowej wieży, o tyle kapitan wołała być jak najbliżej codziennej krzątanimy i wybrała sobie na siedzibę komórkę przylegającą do głównej sali. W holu jak zwykle panował ruch, tworzony głównie przez zaopatrzeniowców Liczydła, uzupełniających zapasy naszej jednostki. Wymijając targających różne sprzęty żołnierzy, przeszedłem przez salę na ukos i wszedłem bez pukania do zajmowanego przez Nikę składzika.

Kapitan była przygotowana na moje przyjsie, co oznacza, że miała już z wyprzedzeniem wyrysowany na twarzy grymas niezadowolenia. Siedziała odchylona na krześle, a nogi w wysokich butach do jazdy konnej położyła na biurku. Miała na sobie lekki pancerz, którego nigdy nie zdejmowała, a czarne włosy, które ostatni raz rozpuściła chyba jako dziesięciolatka, związała w koński ogon. Była drugą najważniejszą osobą w regimencie i prawą ręką pułkownika, a regularne opieprzanie mnie oraz innych oficerów należało do jej głównych zadań.

– Czy jest sens pytać cię o obrzucony pomidorami posterunek Straży? – zapytała, kiedy tylko przekroczyłam próg.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odpowiedziałam niewinnie. – Ale brzmi to jak początek świetnej historii, chętnie dowiem się więcej.

– Nie przeginaj, Is – warknęła Nika. – Mamy w tej chwili większe problemy, ale jeśli dalej będziesz taki cwany, to oberwiesz za te pomidory.

– Jakie pomidory?

– Wystarczy – ucięła twardo. – Masz robotę dziś w nocy. Mamy wreszcie miejsce pobytu alchemika Varaka.

– Kto go nam wystawił?

– Dobrze wiesz.

– Ifryt.

– Przestań się tak krzywić, Is. To dupek, ale użyteczny. W każdym razie dał nam lokalizację Varaka, dzięki czemu możemy się znaleźć bliżej Kręgu niż kiedykolwiek wcześniej.

– Gdzie?

– Opuszczony magazyn na ulicy Kołowej. Sztab de Verdego dostarczył nam plany budynku, piwnice magazynu łączą się z sąsiednim burdelem. Weźmiesz dziesięciu ludzi. Czterech zostaje na zewnątrz, przy wejściu do magazynu, reszta idzie z tobą przez piwnice. Nie musisz chyba mówić, że Varak ma dla nas wartość tylko żywy.

Otworzyłam usta, żeby skomentować plan Niki, ale natychmiast mi przerwała:

– Jeśli chcesz rzucić jakiś głupi komentarz na temat prowadzenia grupy uderzeniowej do burdelu, to lepiej się zastanów.

Zamknąłem usta i zrezygnowałem ze swojego komentarza.

– Coś jeszcze? – spytała.

– Jeśli mamy zgarnąć alchemika, to przydałby nam się ktoś, kto zna ich sztuczki i mógłby wykryć ewentualne pułapki, zanim w nie wdepniemy.

– Nie dostaniesz Yorlana.

– Zmniejszylibyśmy ryzyko strat...

– Nie ma szans – powtórzyła kapitan. – To ma być cicha i czysta akcja, a gdzie Yorlan, tam eksplozje. – Zwinęła rozłożony na biurku plan budynku w rulon i podała mi go. – No już, idź zbierać swoich ludzi. Masz tylko kilka godzin na przygotowania.

Odprawy z Niką nigdy nie trwały długo. Oczekiwała od nas dużo samodzielności w myśleniu. Nie mogę powiedzieć, żeby ta metoda przynosiła jednoznacznie pozytywne rezultaty.

Wstałem i ruszyłem ku wyjściu.

– Jeszcze jedno, Is.

No tak, oczywiście.

– Żadnych błędów. Nie możemy sobie pozwolić na więcej strat własnych po masakrze w aptece Schlicka.

– Ta akcja była z góry spalona! Jak miałbym uniknąć strat, skoro cały budynek aż się roił od...

– Właśnie dlatego wysłałam cię tam osobiście, zamiast wybrać jakiegoś sierżanta, żeby grupą dowodził ktoś zdolny do myślenia.

– Skoro już mowa o Schlicku, to od kogo mieliśmy cynk, który nas tam wysłał? Od Ifryta. I teraz znowu pakujemy się...

– Ifryt i jego wątpliwa lojalność to mój problem. Skup się na tym, żeby wrócić tu z Varakiem i oddziałem w komplecie.

– Większość z nas sądzi, że Ifryt...

– I właśnie dlatego nie powierza się wam bardziej odpowiedzialnych zadań. No, na co jeszcze czekasz? Jeśli chcesz wyrazić jeszcze jakieś przemyślenia, to zacznij pisać pamiętnik.

Po wyjściu z celi Niki zajrzałem do klasztornej kuchni, skąd zwędziłem kawał podejrzenie pachnącego sera, i wyszedłem na dziedziniec, gdzie wdrapałem się na dachek przybudówki. Stąd mogłem swobodnie obserwować manewry mojej kompanii, która wykonywała właśnie na placu jedno z bezsensownych ćwiczeń marszowych, które Nika wprowadziła, aby „żołnierze nie mieli czasu na głupoty”. Odbywały się one regularnie, ale osobiście prowadziłem je tylko raz, zanim wpadłem na pomysł, żeby zwalić całą robotę na sierżantów. Oznaczało to niestety, że w tej chwili nic nie odrywało mej uwagi od powalającego zapachu mojego posiłku, który najwyraźniej trafił do kuchni za sprawą jakiegoś błyskotliwego kucharza, niezdolnego odróżnić sera pleśniowego (uważanego za lokalny przysmak) od spleśniałego. Zresztą ten pierwszy też uważam za paskudny – tylko w tej przeklętej krainie wiecznej wilgoci coś ze słowem „pleśń” w nazwie mogłoby zostać uznane za jadalne. Co nie przeszkadza-

ło mi darzyć głębokim podziwem tego anonimowego geniusza, który pewnego dnia spojrzął na swój magazyn pełen zepsutego nabiału i pomyślał: „Na pewno jest jakiś sposób, żeby przekonać ludzi do kupienia tego paskudztwa”. Oparłem się więc wygodnie plecami o ścianę i wstrzymałem oddech, zjadając ser celowo w taki sposób, by ani razu na niego nie spojrzeć, i kontemplując trudne decyzje personalne, jakie stały przede mną.

Bądźcie łaskawi, drodzy czytelnicy, postawić się w mojej sytuacji. Usiądźcie ze mną na daszku tej rozpadającej się budy, przegryźcie kawałek sera, który o wiele za długo przeleżał w wilgotnej, mniszej piwnicy, zanim trafił do kuchni, i wyobraźcie sobie, że z paradującej przed wami bandy musicie wybrać dziesięciu ludzi, których zabierzecie ze sobą, by wykonać trudne i subtelne zadanie. Weźcie przy tym pod uwagę, że w tej hipotetycznej sytuacji dowodzicie kompanią E, która powinna liczyć stu żołnierzy, ale rzadko kiedy zdarza się wam mieć pod sobą jednostkę w pełnym składzie osobowym. W tej konkretnej chwili, siedząc na daszku i wstrzymując oddech, by uniknąć wymiotów spowodowanych zapachem sera, macie pod swoją komendą pięćdziesięciu ludzi, z czego trzydziestu jest godnych zaufania, dwudziestu w miarę kompetentnych, a trzech na tyle inteligentnych, by nie wymagać nieustannego nadzoru. Tych trzech to wasi sierżanci: Chi, Cefel i Zielony, którzy teraz biegną wzdłuż szeregu i doprowadzają do porządku co bardziej niesfornych żołnierzy. Zakładam, że jesteście osobami wysoce spostrzegawczymi, więc na pewno nie umknęło waszej uwadze, że przy każdym nowym manewrze Cefel i Zielony spoglądają

ukradkiem w stronę Chi i nie tyle wydają polecenia swoim pododdziałom, co powtarzają jej gesty i komendy. A kiedy widzicie, jak filigranowa sierżant celnym kopniakiem stawia do pionu dwumetrowego dryblasza, to już na pewno wiecie, bez kogo nie możecie się obejść.

Powinniście wiedzieć, że Chi urodziła się po drugiej stronie Gór Granicznych i była niską, skośnooką dziewczyną o zaskakująco mocnym głosem, która tak źle władała mieczem, że stanowiła większe zagrożenie dla siebie niż dla przeciwnika. Zarazem jednak cechowała się błyskotliwą inteligencją i z jakiegoś powodu cieszyła się większym autorytetem wśród żołnierzy kompanii E niż ktokolwiek inny, włączając w to mnie. Innymi słowy, podobnie jak ja nadrabiała intelektem fizyczne niedostatki i jestem przekonany, że kiedy wreszcie moje wątpliwe decyzje doprowadzą mnie do grobu, Chi będzie świetnym dowódcą kompanii E.

Powstrzymajcie mdłości, drodzy czytelnicy, i przełknijcie kolejny kawałek sera, a potem zwróćcie uwagę na tego bladego chudzielca, który praktycznie zasypia na stojąco, pomimo całego zamieszania dziejącego się wokół. Nawet z tej odległości na pewno możecie zauważyć, że choć jego prawy rękaw jest podwinięty i odsłania regimentowy tatuaż, to lewa ręka jest zakryta czarną, idealnie dopasowaną rękawiczką. To Inacio Ferrente da Laves, czyli po prostu Ferre. Mogliście o nim słyszeć jako o legendarnym na całym Kontynencie szermierzu. Bynajmniej nie urodził się jako nieludzko szybki i niebezpieczny wojownik, lecz jako gnuśny i rozpieszczony arystokrata. Będąc nastolatkiem, podjął najlepszą decyzję w swoim

życiu i sprzedał demonowi duszę w zamian za niebywale umiejętności szermierskie. Jako zdeklarowany materialista Ferre uważał, że dusza to mit i wymysł naiwnej wyobraźni, więc z wielką chęcią przehandlował ją, by stać się niezrównanym szermierzem. W konsekwencji został naznaczony piętnem demona, przez co jego lewa ręka stała się trupio sina i wiecznie zimna. Ferre, zawsze praktyczny, zaczął od tamtej pory nieustannie nosić na niej skórzaną rękawiczkę i nadal był całkowicie usatysfakcjonowany dokonaną zamianą. Inni członkowie regimentu, również niezbyt uduchowieni, całkowicie zgadzali się z jego rozumowaniem i powszechnie uważano podpisany przez niego cyrograf za najbardziej jednostronną transakcję w historii. Sam demon lubił okazjonalnie nawiedzać Ferrego, chichocząc złowieszczo z ciemności lub ni stąd, ni zowąd tubalnym głosem oświadczać: „Należysz do mnie!”, na co ten zwykł odpowiadać, pokazując mu figę lub jakiś inny, bardziej wulgarny gest. Na pewno się ze mną zgodzicie, kiedy powiem, że jakkolwiek nie czułem się uprawniony wydawać sądy na temat demonicznych powiązań mojego podwładnego, to na pewno nie zamierzałem pozwolić, by jego unikalne zdolności nie zostały odpowiednio wykorzystane.

Pamiętajcie również, uważni czytelnicy, że niedługo przyjdzie wam się wyprawić w środku nocy w miasto, którego mieszkańcy serdecznie was nienawidzą, a ostatnia taka akcja zakończyła się krwawą jatką w ciasnej przestrzeni, gdy znieścacka napadła was nosząca zwierzęce maski banda fanatyków Kręgu. Biorąc pod uwagę te informacje, nie zdziwiłbym się, jeśli w tej chwili wasze

oczy zogniskowały wzrok na dwóch największych postaciach w szeregu, Ugh i Gąbce. Ugh, wysoka na dwa metry i diabelnie silna czarnoskóra kobieta, stanowiła najbardziej niesamowitą kombinację czulej i litościwej osobowości oraz morderczego, zwierzęcego instynktu. Gąbka z kolei, jeszcze wyższy i szerszy od niej, wyposażony w takie atrybuty jak blond broda do pasa i wielki topór na plecach, bardziej przypominał pogańskiego boga ludów Północy niż zwykłego śmiertelnika. Gąbka naprawdę nazywał się Vashirkh Haejmoelth i jak nazwisko wskazuje, był oprócz mnie jedynym w regimencie przybyszem z krainy wiecznej zimy na północy Drugiego Brzegu. Z powodu mojego pochodzenia Gąbka przyznawał mi autorytet nawet wyższy niż Nice czy pułkownikowi. Wcześniej służył w kompanii C porucznika Ouangi, ale jako pierdolony rasista odmawiał wykonywania rozkazów czarnego dowódcy. Został więc przeniesiony do mojej kompanii E i w miarę możliwości powstrzymywał się od okazywania pogardy wobec innych ras. Zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo zróżnicowana kulturowo była moja jednostka, obawiałem się, że prędzej czy później poleje się tu krew, ale jak dotąd udawało mi się utrzymać tę bandę w ryzach, choć właściwie to Chi należała się cała zasługa w tej kwestii. Kilka lat wcześniej, gdy awansowała na sierżanta i Gąbka dowiedział się, że ma jej podlegać, spędził parę dni, sarkając i skarżąc się wszystkim, że musi słuchać rozkazów przedstawicielki „słabej rasy”. Wkrótce potem kilku żołnierzy zobaczyło Gąbkę wychodzącego z kwatery sierżant ze łzami w oczach i od tego czasu był jej bezwzględnie posłuszny. W kompanii krąży wiele hi-

potez na temat tego, co się wtedy stało, niemal wszystkie zawierają jakieś odniesienie do sił nadprzyrodzonych.

Na sam koniec, z trudem przełykając ostatni kęs żółtozielonego posiłku, możecie się znaleźć przed następującym dylematem: „Czy cenniejsze są dla mnie wysokie umiejętności szermiercze czy raczej posiadanie choćby śladowych ilości zdrowego rozsądku?”. Jeśli uznaliście w tym przypadku zdrowy rozsądek za opcjonalny, to całkowicie się zgadzamy, bo po wybraniu jeszcze czterech solidnych i godnych zaufania ludzi dałem znać Chi, by sprowadziła również Hienę i Parcha, którzy pełnili właśnie karną wartę przy Gnojowisku, gdzie cały regiment załatwiał swoje potrzeby fizjologiczne. Ta dwójka pakowała się w kłopoty przy najprostszych zadaniach i nie potrafiła zachować zimnej krwi nawet podczas jedzenia drugiego śniadania, ale byli zarazem dwoma najlepszymi mieczami kompanii (pomijając Ferrego, który znajdował się w całkiem odrębnej kategorii). Jako ochroniarze mieli dość ambiwalentną wartość, bo stanowili dla swoich braci większe zagrożenie niż jakikolwiek wróg. Sięgali po broń pod każdym pretekstem i jak zaczęli siec, to nie potrafili przestać. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby przewidzieć, że przyczyną śmierci tych dwóch nie będzie starość, żołnierskie żarcie czy choroby zakaźne, lecz własna głupota. No dobra, może trochę przesadziłem. Statystycznie rzecz biorąc, można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, że przynajmniej jeden z tych kretynów umrze z powodu paskudnego żarcia, zanim da się zabić przez własną niekompetencję. Do tego czasu musiałem stale mieć ich na oku.

– Ten cynk przyszedł od Ifryta, prawda? – spytała Chi. – Skąd możemy mieć pewność, że to nie pułapka?

Czyniłem akurat ostatnie przygotowania w mojej celi, gdy zajrzała do mnie sierżant. Była już w pełni gotowa do wymarszu, a w rękach trzymała lekką kuszę. Znała swoje mocne i słabe strony, więc nigdy nie podjęła poważnej próby opanowania walki wręcz, zamiast tego skupiając się na doskonaleniu umiejętności strzeleckich. Nosiała oczywiście krótki miecz przy pasie, ale głównie na pokaz.

– Głupie pytanie – odpowiedziałem, dopasowując lekki pancerz, składający się z napierśnika i folg. – Oczywiście, że nie mamy pewności.

– Źle mnie zrozumiałeś – obruszyła się Chi. – Mamy wielu donosicieli, których słusznie darzymy ograniczonym zaufaniem. Ale o Ifrycie wiemy na pewno, że sprzedaje informacje jednocześnie obu stronom, a mimo to zawsze pchamy się tam, gdzie nas wyśle. W końcu musimy się sparzyć.

– Nika odpowiada za niego. Jak dotąd nas nie wystawił i zdaniem pani kapitan on doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli spróbuje to zrobić, to Siódmy Regiment powiesi go za jaja.

– Nie wierzę, że Ifryt jest zdolny do racjonalnej oceny swojej sytuacji. Gdyby faktycznie bał się skutków zadzierania z niebezpiecznymi ludźmi, to nie kolaborowałby jednocześnie ze wszystkimi stronami konfliktu. Wszyscy wiedzą, że to sprzedawczyk, i to tylko kwestia czasu,

kiedy jedna ze stron wreszcie straci cierpliwość i go zlikwiduje. Ale Ifryt wydaje się nieświadomy, że jego zachowania mogą pociągnąć nieprzyjemne konsekwencje.

– Do czego zmierzasz? – spytałem z irytacją. – Chcesz mnie przekonać, że Dhuirceath byłoby przyjemniejszym miastem, gdyby znaleziono tę gnidę w rynsztoku z poderżniętym gardłem? Jestem już po twojej stronie. Ale tu chodzi o Varaka. Nika pójdzie każdym tropem, który mógłby ją do niego doprowadzić, nieważne, jakie jest źródło informacji. Poświęciłaby całą naszą kompanię, żeby dorwać kogoś, kto dałby jej dojście do Kręgu.

Chi zachnęła się, a potem niechętnie zmieniała temat.

– Rozumiem, że z góry rezygnujemy z anonimowości podczas tej akcji?

– Jakbyśmy się nie przebiali, biorąc Ugh i Gąbkę ze sobą, równie dobrze możemy śpiewać hymn regimentu, idąc ulicami. Nie ma szans, żeby ktokolwiek z miejscowych dał się nabrać, że jesteśmy swoi. Za to grupa najemnych żołnierzy wchodzących do burdelu nikogo nie zdziwi. A potem wyważamy drzwi, spuszczaemy wpierdol i wywlekamy jeńca siłą z kryjówki.

– Subtelny plan. A podobno siła nigdy nie jest najlepszym rozwiązaniem.

– Ktokolwiek to powiedział, nie miał zbyt wiele siły.

– Ty to powiedziałaś, trzy dni temu.

– To by się zgadzało. Nie jestem specjalistą od rozwiązań siłowych – przyznałem, nieco skruszony. – Od tego mamy Ugh i Gąbkę.

Chi uśmiechnęła się ironicznie, bawiąc się naszymi przedstawiającym coś w rodzaju oplątanego mackami oka.

– Co to jest? – spytałem, by zmienić temat.

– Symbol czegoś, w co już od dawna nie wierzę.
– Boga z twojej ojczyzny?
– Coś w tym rodzaju – zawahała się Chi. – Bóg to złe słowo. Po drugiej stronie Gór Granicznych nie wierzymy... oni nie wierzą w bogów w takim rozumieniu jak tutaj. Mają zupełnie inne pojęcie istoty boskiej niż wy. Nawet wyrażenie „istota boska” wprowadza w błąd. Wszystkie wasze religie uparcie nadają bogom ludzką postać. Niektórzy z nich od tej strony Gór wyznają bóstwa niewidzialne i niepoznawalne, a mimo to myślą o nich w ludzkich kategoriach, przypisują im intencje, plany i zachcianki. Ludzie po drugiej stronie Gór wierzą w coś mniej... jednostkowego.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz. W ogóle ci tego nie wyjaśniłam. Ten język nie ma odpowiednich pojęć. Nawet w moim ojczystym ciężko byłoby to wyrazić. Zresztą... – zachnęła się i wsunęła naszyjnik pod koszulę. – Minęło za dużo czasu. Teraz ja sama już tego nie rozumiem.

Z tym akurat mogłem się utożsamić. Każdy członek regimentu mógł.

Gerard, pułkownik regimentu, gardził wszelkimi symbolami, zarówno o charakterze religijnym, jak sentymentalnym, ale nigdy nie zakazywał ich noszenia żołnierzom. Nie musiał. Tylko nowi rekruci obnosili się ze świecidełkami zdradzającymi ich pochodzenie czy religię. Po kilku latach zrzucali to wszystko i zostawiali na swoim ciele tylko jeden symbol: tatuaż kłuszącego węża owiniętego wokół prawej ręki. Było to zresztą całkowicie zrozumiałe. Służba w pułku rzucała ludzi w coraz to nowe, nieznanne

rejony, gdzie byli traktowani jak obcy, intruzi, najeźdźcy, nawet jeśli pracodawca regimentu twierdził, że te ziemie prawnie mu się należały. Wobec nieustannego poczucia obcości i zagrożenia, w oderwaniu od rodzinnych stron, dawne wierzenia traciły swą moc. Bogowie dzieciństwa, dawniej tak potężni, wydawali się śmieszni w tych dziwnych krajach, w których nie tylko nikt się ich nie bał, ale nawet o nich nie słyszał. Kto więc mógł cię ochronić przed zdradzieckim ciosem w plecy, przed poderżnięciem gardła we śnie? Tylko kompani z oddziału. Komu innemu można było zaufać, w kim innym pokładać wiarę? W ten właśnie sposób obwieszony błyskotkami rekrut, z kolorową chustą zawiązaną pod szyją, przeistaczał się w odzianego całkowicie w regimentową czerń weterana, wchodzącego do karczmy z podwiniętym prawym rękawem, żeby wszyscy goście wiedzieli, kto za nim stoi i kto spali całą wieś, jeśli choćby włos spadnie mu z głowy.

Chi wyszła, a ja w ślad za nią, narzucając na napierśnik kurtkę z wyszytymi symbolami regimentu na ramionach. Nie zamierzałem dobrowolnie wystawiać się na cel, więc mój strój nie miał żadnych oznak mojego stopnia. Nie nosiłem też niczego, co przypominałoby mi o kraju, w którym się urodziłem. Każdy element mojego wyposażenia i ubioru trafił do mnie prosto z magazynu Liczydła.

Ruszyliśmy krótko po zmierzchu. Nie musieliśmy się kryć przed wzrokiem przechodniów, o tej porze w Dhuirceath można było spotkać więcej patroli wojskowych niż cywili i kolejny maszerujący oddział nie zwracał niczyjej uwagi. Gdy dotarliśmy na miejsce, musieliśmy się jednak wstrzymać, gdyż z burdelu akurat wytaczało się kilku pijanych erejskich żołnierzy. Teoretycznie byliśmy sojusznikami, ale „prawdziwi Erejczycy”, szczególnie po kilku piwach, lubili pokazywać najemnym żołnierzom, gdzie ich miejsce, a ostatnie, czego potrzebowaliśmy w tej chwili, to przypadkowa bójka. Szybko cofnąłem oddział w głąb uliczki, którą nadeszliśmy, a sam ustawiłem się na skrzyżowaniu, w cieniu znaku ulicznego, obserwując żołdaków powoli wylewających się z budynku na chodnik. Tablica nad moją głową informowała, że znajdujemy się na skrzyżowaniu ulic Kołowej i Wygwizdowej. Z nadania gubernatora wszystkie oznaczenia uliczne podawały nazwy w dwóch językach: urzędowym erejskim i miejscowym. My dla własnej wygody zawsze używaliśmy nazw erejskich, ale były one wtórne, przetłumaczone z mniejszą lub większą wiernością z lokalnego oryginału. O ile w centrum miasta, w okolicach uczęszczanych przez gubernatorskich urzędników, tłumaczenia były z reguły trafne i rozsądne, to na obrzeżach, w ubogich dzielnicach, nazewnictwo stawało się bardziej... abstrakcyjne. Trudno stwierdzić, czy wynikało to z przydzielenia mniej zdolnych tłumaczy do mniej znaczących ulic, czy z czystej złośliwości miejscowych. Klasyczny przykład stanowiła ulica Zmysłowego Węgorza, położona koło rybnego targu, na której od drobnych handlarzy można

było na własną odpowiedzialność kupić rozmaitej świeżości ryby.

Królewscy żołnierze, ślaniając się i przeklinając, wreszcie oddalili się w głąb ulicy Kołowej i dałem znak swoim, by ruszali. Chi wraz z trójką żołnierzy zajęła pozycję przed wejściem do magazynu, a ja z pozostałą szóstką wszedłem do burdelu. Lokal był pierwsza klasa, już na wejściu odurzający oszałamiający widokami, zapachami i dźwiękami, zarówno tymi wydobywającymi się z instrumentów muzycznych, jak i tymi bardziej fizjologicznej natury. Poczułem, że poziom koncentracji moich ludzi spada drastycznie.

Niemal natychmiast dopadła nas bajzelmama, przesadnie umalowana, starszawa i nieco pulchna kobiecina.

– Ach, witamy, witamy dzielnych wojowników – zagadała przymilnie. – Bardzo nas cieszą takie wizyty grupowe. Czym mogę służyć?

– Przede wszystkim interesują nas wasze piwnice – powiedziałem.

– W porządku, ale za perwersje trzeba dopłacić.

Zdębiałem na moment. Parch za moimi plecami zaczął chichotać.

– Mam na myśli dosłowne piwnice, te pod budynkiem – wyjaśniłem, starając się zachować poważny i groźny wygląd. – Musimy przez nie przejść.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Bajzelmama pokręciła głową. – Te pomieszczenia są obecnie przez nas użytkowane w sposób dość... intensywny.

– Chyba się nie zrozumieliśmy – powiedziałem lodo-
watym głosem. – To nie jest prośba.

Bajzelmama skinęła na wykidajkę, który z kąta przy-
słuchiwał się naszej rozmowie.

– Guir, mój drogi, pokaż naszym gościom, jak trafić
do wyjścia.

Osiłek postąpił krok do przodu, ale zanim zdążył co-
kolwiek zrobić, Ferre już był przy nim. Ledwie zareje-
stowałem jego ruchy, gdy błysnął nóż i strumień krwi
trysnął z szyi wykidajki. Po chwili żołnierz był już z powro-
tem na swoim miejscu, spokojnie wycierając nóż, a Guir
wykrwawiał się na podłodze z poderżniętym gardłem.

– Przyjrzyj się nam dokładnie – zwróciłem się do prze-
rażonej bajzelmamy. – Zastanów się dobrze, czy na pew-
no chcesz spróbować jeszcze raz. Bo niezależnie od tego,
ilu masz jeszcze takich osiłków na podporządkowaniu, ta historia
skończy się twoim trupem dyndającym na latarni. A te-
raz zaprowadź nas do piwnic, my zrobimy swoje i nigdy
więcej nas nie zobaczysz, chyba że ktoś z nas zechce sobie
podupczyć na przepustce.

Przez chwilę stała nieruchomo, sparaliżowana strachem, a potem z ociąganiem poprowadziła nas do piwnic.
Szybko okazało się, dlaczego tak niechętnie wpuściła nas
do tych pomieszczeń. Burdel najwyraźniej był bardzo wy-
dajnie zarządzany i nie pozwalano żadnemu kawałkowi
nieruchomości się zmarnować. Piwnice przeznaczono
więc dla gości o bardziej niekonwencjonalnych upodoba-
niach. Kiedy tam zeszlismy, znaleźliśmy się nagle wśród
nagich mężczyzn i kobiet, biczowanych lub biczujących,
prowadzonych na smyczach, związanych sznurami bądź
przykutych kajdankami do ścian. Niektórzy z klientów
reagowali wstydem bądź strachem na nasz widok, ale

wielu uznało nas za część przedstawienia. Gdyby nie to, że mieliśmy pilniejsze sprawy na głowie, na pewno przyrzeliśmy się dokładnie wszystkim obecnym i zapisali nazwiska na poczet przyszłych szantaży. Może w przyszłości trafi się okazja, żeby ponownie odwiedzić to miejsce z notatnikiem i dobrą lampą.

Pomimo tłoku i kiepskiej widoczności dość szybko przedostaliśmy się przez piwnice burdelu. Kilka razy musiałem przywoływać do porządku Hienę i Parcha, którzy nie byli w stanie się powstrzymać przed macaniem mijanych prostytutek bądź naśmiewaniem się z obnażonych klientów. Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego uznałem, że zabieranie ich ze sobą było dobrym pomysłem.

Bajzelmama doprowadziła nas do solidnych, dębowych drzwi, które stanowiły przejście do magazynu. Wyciągnęła zza pazuchy klucz i przekręciła go w zamku. Otworzyła wrota i sięgnęła po klucz, ale ja złapałem go pierwszy.

– Dziękuję, to już wszystko – powiedziałem chłodno.
– Klucz będzie nam jeszcze potrzebny. Proszę się nie martwić, zamknę drzwi od zewnątrz.

Przez moment sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar się sprzeciwić, ale szybko się opamiętała. Przeszliśmy przez drzwi i zamknąłem je za sobą na klucz, gdy już wszyscy znaleźliśmy się po drugiej stronie.

Wchodząc do kryjówki podejrzewanego o konszachty z buntownikami alchemika, rzecz jasna spodziewaliśmy się kłopotów. Zakładaliśmy obecność licznych pułapek, które mogłyby wywołać eksplozję pod naszymi stopami

albo przebić nas wysuwanymi ze ściany ostrzami. Wyobrażaliśmy sobie oblewający nas kwas albo otaczającą nas chmurę trującego gazu. Spodziewaliśmy się również uzbrojonych buntowników, gotowych bronić swojego cennego sprzymierzeńca. Możecie więc wyobrazić sobie nasze zaskoczenie, gdy zaraz po wejściu do magazynu zostaliśmy ciepło powitani przez nerwowego, gadatliwego staruszka, który nie posiadał się z radości na nasz widok.

– Witam, zapraszam szanownych państwa! – zawołał alchemik, widząc nasz oddział przeciskający się przez wąskie przejście, które zaprowadziło nas schodami z podziemi magazynu do głównej hali. – Nawet nie wiecie, jak się cieszę na wasz widok! Hip, hip, hurra! Niech żyją dzielni wojacy z Erei! To nasze chłopaki są!

– Co kurwa? – wyrwało się Parchowi.

Mieliśmy przed sobą niskiego, zgarbionego staruszka, ubranego w ognioodporny fartuch i osmaloną czapkę. Wszystkie włosy na jego głowie zostały wypalone, a twarz miał usmarowaną sadzą.

– Tak, tak, rozumiem wasze zdziwienie – zagadał. – Czemu ten Varak cieszy się z przybycia Erejczyków? Czy nie powinien rzucać w nich bombami? Czy nie powinien uciekać? Nie, nie, nie, tak, tak, tak.

– Nie jestem pewien, czy nasza misja stała się właśnie trudniejsza czy łatwiejsza – mruknąłem.

– Przybyliście mnie zabrać? – spytał Varak i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Dobrze, dobrze, dobrze. Zabierzcie mnie stąd i to szybko. Narozrabiałem i buntownicy niezbyt mnie teraz lubią. Chętnie sprzymierzę się z wami, Erejczykami. Przyda mi się dobra ochrona.

Nie macie chyba nic przeciwko wybuchom? E, widzę, że wy nie z tych strachliwych. Na pewno się dogadamy.

Najwyraźniej jedyną formą oporu ze strony alchemika miała być niekończąca się gadanina. Dałem znak Ferremu. Ten podszedł do niego i szybkim ciosem pozbawił go tchu, a następnie spokojnym ruchem wyciągnął z kieszeni przygotowany uprzednio przez Yorlana flakonik i nasączył chustkę zawartym w nim płynem. Sprawnym chwytem unieruchomił Varaka i przycisnął mu ją do twarzy. Staruszek oklapł w jego ramionach i padł nieprzytomny na ziemię.

– To... było znacznie mniej skomplikowane, niż się spodziewałem – stwierdził ze zdumieniem w głosie Hiena. – I pomyśleć, że mógłbym teraz leżeć w moim łóżku. Albo na podłodze w burdelu za ścianą.

– Nie martw się – powiedział beznamiętnie Ferre, chowając chustkę do kieszeni. – Na pewno jeszcze coś się spierdoli.

– Gąbka – odezwałem się i wskazałem na alchemika.

Gąbka z ociąganiem podszedł do nieprzytomnego jeńca, podniósł go bez wysiłku i przerzucił sobie przez ramię jak tobolek.

– Chcesz przeszukać budynek? – zapytał mnie Ferre.

– Nie, mamy to, co potrzebujemy.

– Wracamy przez burdel czy frontem?

– Burdel. Zakryjcie kapturem twarz Varaka, będzie wyglądało, jakbyśmy nieśli pijanego kolegę.

Zrobili, jak kazałem, i wróciliśmy z powrotem do podziemi. Ponownie przeszliśmy przez piwnice burdelu, przyciągając zaskakująco mało uwagi. A potem, wedle słów bezdusznego proroka, wszystko się spierdoliło.

Wspięliśmy się schodami prowadzącymi z piwnic zamtuza na parter i znaleźliśmy w głównej sali, przez którą przechodziliśmy już wcześniej. Tylko że tym razem była pusta. Nigdzie nie widać było ani bajzelmany, ani prostytutek, ani klientów. Ostrzegawczy dzwonek zadzwonił w mojej głowie, ale mimo to ruszyliśmy w poprzek pomieszczenia. I wtedy pułapka się zatrzasnęła.

Nagle jak spod ziemi wyrosło wokół nas kilkanaście dziewczyn, każda trzymająca w rękach naciągniętą kuszę. Byliśmy na samym środku sali, otoczeni i kompletnie zaskoczeni. Innymi słowy, wykazałem się całkowitym taktycznym kretynizmem. Dlaczego komukolwiek przyszło do głowy, że to dobry pomysł powierzać mi dowodzenie jednostką?

– To prawdziwy zaszczyt gościć przedstawicieli słynnego Siódmego Regimentu w naszych progach – rozległo się z góry. – To doprawdy szkoda, że poznamy się w tak przykrych okolicznościach.

Głos należał do kobiety, która stała na szczycie schodów. Kobiety tak zjawiskowo pięknej i tak zmysłowo ubranej, że mój nauczony doświadczeniem i przesiąknięty cynizmem instynkt od razu zawołał: „Pułapka!”. W samą porę.

– Kto z was pełni rolę dowódcy? – zapytała.

Zawahałem się przez moment. Przez całe lata Nika wbijała wszystkim oficerom do głowy: „Nigdy nie ujawniaj wrogowi swojej struktury dowodzenia”. Ale i tak miałem już metaforyczny nóż na gardle i dosłowną kuszę wycelowaną w plecy.

– Porucznik Isevdriir Norgaard – przedstawiłem się. – Pani, nie chciałbym urazić twojej gościnności ani wydać

się nieuprzejmy wobec zgromadzonych dam, ale na ulicy Kołowej, tuż przed twoim jakże gościnnym budynkiem, przebywa w tej chwili grupa naszych towarzyszy broni, którzy widzieli, jak wchodzimy do tego przybytku. Jak sądzisz, jak zareagują, kiedy zdadzą sobie sprawę, że z niego nie wyszliśmy? Jak szybko posłaniec może dotrzeć z Kołowej do klasztoru przy Rzeczej i wrócić tutaj z oddziałem żądnych zemsty żołnierzy Siódmego Regimentu?

Kobieta na schodach posłała mi olśniewający uśmiech, który bardzo utrudnił mi postrzeganie jej jako wroga.

– Poruczniku, dlaczego zaraz zakładać najgorszy scenariusz? Gdyby jednak do niego doszło, czy naprawdę sądzisz, że nie byłabym w stanie sfabrykować przekonujących dowodów, które wskazywałyby ponad wszelką wątpliwość, że wasza śmierć miała miejsce w domu mojego przemiłego sąsiada i znanego działacza nacjonalistycznego, kupca McCuirheana?

– Sądzę, pani, że nie rozumiesz zbyt dobrze mentalności żołnierzy służących w armii okupującej wrogo nastawioną prowincję. Jeśli grupa wojskowych zginie w jakimś budynku, to nie traci się czasu na sprawdzanie, gdzie to się stało, tylko pali się całą ulicę, a wszystkich mieszkańców wiesza na latarniach.

– Nie zawiodłam się na tobie, poruczniku. Dorównujesz swojej reputacji.

Skrzywiłem się.

– Nie cieszy mnie to zbyt. Reputacja to niebezpieczna rzecz. Ludzie jej pozbawieni nie muszą odbywać takich rozmów z kuszami celującymi w ich plecy.

– Owszem, ludziom bez reputacji podrzyna się gardła bez wcześniejszej rozmowy. Źle się chyba zrozumieliśmy.

Nie mam bynajmniej wrogich intencji wobec waszego regimentu, przeciwnie, bardzo mi zależy na nawiązaniu... współpracy. Jeśli jednak dacie mi powód, zabiję was wszystkich, a potem będę się martwić, jak uciec przed zemstą waszych kolegów. Ale wolałabym spróbować znaleźć bezkrwawe rozwiązanie. Zapraszam do gabinetu, poruczniku, na pewno uda nam się coś wymyślić.

Rozejrzałem się wokół i przez chwilę rozważyłem szalony scenariusz stawienia oporu. Ferre wpatrywał się we mnie intensywnie, czekając na sygnał. Nie miałem wątpliwości, że dziewczyna celująca w niego znajdowała się w większym niebezpieczeństwie niż on. To była właśnie jedna z tych chwil skrajnego zagrożenia, dla których poświęcił wszystko, i jego oczy płonęły żądzą mordu. Szanse reszty z moich ludzi były jednak znacznie mniejsze. Gdyby doszło do walki, straciłbym przynajmniej połowę oddziału. Nie miałem zamiaru ryzykować. Spojrzałem na schody. Kobieta obserwowała mnie z uśmiechem, zapewne wiedząc doskonale, o czym myślę. Po chwili skinęła na mnie ręką i odwróciła się. Połączyłem za nią.

Poprowadziła mnie do pomieszczenia, które bardziej kojarzyło się z biurem kupca niż z burdelem. Centralne miejsce zajmowało eleganckie, mahoniowe biurko zawalone papierami i przyrządami do pisania. Za nim stał wygodny fotel, a przed – dwa krzesła dla gości. Wzdłuż ścian znajdowały się szafy zastawione książkami. Okna były zasłonięte cienkimi, czerwonymi firanami, co sprawiało, że pokój wypełniała krwawa poświata. Zostałem posadzony na jednym z krzeseł dla petentów, a moja go-

spodyni usiadła po drugiej stronie biurka. Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się jej bliżej. Miała idealną figurę, subtelny, ale efektowny makijaż i długie, czarne włosy. Jej skośne, typowe dla ludzi pochodzących z Górnego Śląska oczy były zaskakująco błękitne i lodowato zimne. Orzeźwiająco zimne, jak kubał wody, który budzi cię ze snu.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się jeszcze. Na imię mam Arai, jestem właścicielką tego miejsca.

– Miło mi poznać. Kim w takim razie była kobieta, która pokazała nam drogę przez piwnice?

– Och, to tylko Sorin. Nie zawracałabym sobie nią głowy. Zawiodła mnie i nie będzie tu już dłużej pracować. Ani nigdzie indziej.

Nie skomentowałem.

– Isevdrir ... Ciekawe imię. Czy wymawiam je poprawnie?

– Nienagannie, pani. – Skrzywiłem się. – Zupełnie jakbyś ćwiczyła wymowę przed naszym spotkaniem.

– Cieszę się, że moje starania przyniosły efekt. – Obdarzyła mnie uśmiechem. – To niezwykle imię. Musisz pochodzić z daleka. Jak to się stało, że trafiłeś aż tutaj?

– Ręce twoich dziewczynek zapewne już drętwieją od trzymania kuszy wycelowanych w moich żołnierzy. Jeszcze chwila, a same się rozbroją. Czy to na pewno dobry moment na opowiadanie o moim życiu?

– Cóż za niecierpliwość. Chciałabym tylko, żebyśmy się nieco bliżej poznali, zanim przejdziemy do konkretnych. Wymienili podstawowe informacje.

– Kłamstwa na temat własnej przeszłości? Jaka w tym wartość? Bo przecież żadne z nas nie powiedziałoby prawdy.

– Nie sądzisz jednak, że kłamiąc na swój temat, człowiek ujawnia nawet więcej, niż gdy mówi prawdę o sobie?

Nie odpowiedziałem nic na ten sofizmat. Arai roześmiała się i usadowiła wygodnie w fotelu.

– Zapytałabym, czemu zawdzięczam wasze odwiedzi-
ny, ale to nieprzytomne ciało na podłodze mojej głównej
sali wystarczy mi za wyjaśnienie.

– Prowadzisz bardzo gustowny lokal, pani – powie-
działem, siłąc się na niewzruszony ton głosu.

– Dziękuję. W mojej ojczyźnie mamy powiedzenie: „Pro-
wadź taki burdel, w którym sama chciałabyś się pieprzyć”.

– Naprawdę?

– Nie.

– Szkoda, byłby to wspaniały kraj.

– Erea również byłaby wspaniałym krajem, gdyby
na królewskim godle zamiast motta „Wierność aż po grób”
widniało wezwanie do podwyższenia jakości usług w zam-
tuzach. Może wtedy dzielni rycerze, zamiast ciągle leczyć
trypra, mogliby się zająć dotrzymywaniem tych wszystkich
przysiąg, które tak chętnie składają.

– Przyznam, pani, że nie jest to dyskusja, którą spo-
dziewałem się odbyć w tak amoralnym miejscu.

– Nie wiem, czego się spodziewałaś. Ale trudno o bran-
żę, która wymaga od właścicielki interesu wyższych stan-
dardów etycznych. Pomyśl tylko, jak wielkim zaufaniem
obdarzają nas klienci. W naszych sypialniach odpasają
miecze, odkładają na bok sakiewki i zrzucają ubrania. Ni-
gdzie indziej poza własnymi domami nie są tak bezbronni
i wystawieni na cios jak tutaj. Tylko nasza uczciwość chro-
ni ich przed napadem, kradzieżą, tryprem i niedyskrecją.

- Przed kuszami wymierzonymi w plecy?
- Nasze standardy dotyczą tylko klientów. Ewentualnie partnerów w interesach. Czy chciałbyś zostać moim partnerem, Is?
- Nie wiedziałem, że mamy jakieś wspólne interesy.
- Wbrew pozorom jesteśmy na tym samym szczeblu drabiny, Is. Żołnierz, który pobiera żołd, zanim da się poświecić, sprzedaje swoje ciało tak samo, jak każda dziwka.
- To dość tendencyjne postawienie sp...
- Och, nie bierz tego do siebie. Mam głęboki szacunek dla tych, którzy umierają za pieniądze. Gardzę tymi, którzy giną za darmo. Za króla. Za hrabiego. Za barona. W imię stosunku lennego i struktury feudalnej.
- To zapachniało polityką. Za takie idee prowadzą na szafot bez dalszych pytań.
- I dlatego są godne uwagi. Jeśli ktoś boi się ich na tyle, by grozić śmiercią.
- Nie byle ktoś. Mój pracodawca, król.
- Westchnęła jakby zawiedziona. Przez chwilę spoglądała w zamyśleniu w pustą przestrzeń ponad moją głowę, sprawiając wrażenie, że zapomniała o mojej obecności. A potem nagle skupiła się znowu całkowicie na mnie, zupełnie zmieniając ton.
- Wiem, kogo znaleźliście w magazynie, i wiem, do czego jest wam potrzebny – oświadczyła rzeczowo. – Wiem też, kto wam powiedział, że go tam znajdziecie. Jest znacznie, znacznie więcej rzeczy, o których wiem i które mogą wam pomóc dotrzeć do celu.
- Celu? A co takiego jest naszym celem? – spytałem beznamiętnie.

– Krag.

Trafiła. Każdy, kto choć raz wspomniał tę nazwę, zasługiwał na zainteresowanie ze strony regimentu.

– Mogę być użyteczna dla Siódmego Regimentu – kontynuowała Arai. – Wielu ważnych ludzi zostawia tu swoje sekrety. Mogę powierzać je również wam. Ale i wy musicie także być dla mnie użyteczni.

– Czego chcesz?

– Wszystkiego. Ale zaczniemy od małych kroków.

– Nie mogę się doczekać.

– Mam pewien problem natury... prawnej.

– I chcesz się z tym zwrócić do mnie? – Uniosłem brwi.

– Siła i prawo to terminy zamienne – odparła Arai ze spokojem. – Myślę, że możesz rozwiązać mój kłopot skuteczniej niż jakikolwiek urzędnik.

– Słucham więc.

– Budynek, w którym obecnie przebywamy, niestety nie jest moją własnością. Wynajmuję go od pewnego kupca. Ostatnio nasze relacje nieco się pogorszyły i ów kupiec oświadczył, że zamierza zmusić mnie do opuszczenia tego miejsca. To stanowiłoby duży kłopot dla mojej działalności. Koszty przeprowadzki, ryzyko utraty klientów, sam rozumiesz.

– Potrzebujesz kogoś, kto wyjaśni kupcowi, że ewikcja twojej osoby nie jest dla niego korzystna – dokończyłem.

– Wiedziałam, że się zrozumiemy.

– To wszystko, czego oczekujesz?

– Wszystko, czego oczekuję w ramach zadośćuczynienia za dzisiaj poczynione przez was szkody. To, co nastąpi potem, będzie już odrębną transakcją.

– Jeśli faktycznie masz do zaoferowania wiedzę na temat Kręgu, na pewno będziemy zainteresowani. Pamiętaj jednak, że lubimy weryfikować otrzymane informacje. A ci, którzy wprowadzają nas w błąd, ponoszą konsekwencje.

– Zbędna groźba. Ale rozumiem twój tok myślenia, jeśli przywykłeś do zadawania się z ludźmi pokroju Ifryta, może ci się wydawać, że to jedyny sposób prowadzenia negocjacji.

– Jak się nazywa ten kupiec?

– Finnehan. Erlorn Finnehan.

– Daj mi trzy dni.

– Cieszę się, że udało nam się dojść do porozumienia. Przekonasz się, że nasza współpraca będzie bardzo korzystna dla obu stron... – zawahała się na moment. – Jako gest dobrej woli i dowód mojej przydatności dam ci jedną radę: złóż wizytę aptekarzowi Santoliniemu. W jego magazynie można znaleźć wiele interesujących towarów.

Skinąłem głową. Arai wstała i ruszyła ku drzwiom. Podniosłem się z krzesła i podążyłem za nią.

Gdy zeszliśmy na dół, sytuacja prezentowała się tak, jak ją zostawiliśmy. Z jednym wyjątkiem: Hiena leżał bez ruchu na podłodze.

– Co to ma znaczyć? – zapytała surowo Arai.

– Żyje, jest tylko nieprzytomny – odezwała się jedna z dziewczyn. – Strasznie się rzucił i trzeba go było uspokoić.

Spojrzałem na Ferrego. Kiwnął głową, potwierdzając jej wersję.

– Niewielka strata. – Arai wzruszyła ramionami. – W każdym razie doszliśmy do porozumienia. Wracajcie do pracy, dziewczynki.

Opuściły kusze i rozeszły się bez słowa.

– Dziękuję za produktywne spotkanie, poruczniku Norgaard – powiedziała Arai, machając na pożegnanie ze szczytu schodów. – Nie zapomnij przekazać Finnehanowi mojego uszanowania. – Odwróciła się i odeszła.

Parch pochylił się nad nieprzytomnym towarzyszem i zaczął go cucić.

– Odwał się – jęknął Hiena, powoli dochodząc do siebie.

– Baba cię pobiła – zachichotał Parch.

– Pierdol się – warknął jak zwykle elokwentny Hiena. A potem zauważył mnie. – I co, Is, było ruchanko?

– Wołałem, jak byłeś nieprzytomny – rzucił Ferre i obrócił się w moją stronę. – Do czego musiałeś się zobowiązać? Będzie duży problem?

– Nie – odpowiedziałem swobodnie. – Nasza ulubiona robota. Dowiedziałem się też czegoś ciekawego na temat lokalnego przemysłu farmaceutycznego.

– Mianowicie?

– Odwiedzimy jutro sklep Vidala Santoliniego. Coś czuję, że znajdziemy u niego zapas nielegalnej wody święconej.

Taniec marionetek
Copyright © Tomasz Niziński
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Robert Rajszcak
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-158-1
epub ISBN 978-83-7995-159-8
mobi ISBN 978-83-7995-160-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: Barbara Kaszubowska
Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl
Ilustracja na okładce: Robert Rajszcak
Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl